



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Wiesława Flisek

Pierwsza Komunia

Urodziłam się w 1932 roku. Kiedy wybuchła wojna miałam 7 lat i właśnie powinnam iść do pierwszej swojej szkoły. Nie dane mi było jednak rozpocząć nauki. Mieszkaliśmy na Okęciu – było to wówczas przedmieście Warszawy, inaczej gmina Okęcie. Mieszkanie rodzice wynajęli w 1937 roku w prywatnym piętrowym domu przy Al. Krakowskiej. Ojciec był zawodowym wojskowym i pełnił służbę w I-szym Pułku Lotniczym na Okęciu. Gdy w 1939 roku wybuchła wojna poszedł na front. Żegnałam go z balkonu, gdy szedł do tramwaju. Sięgałam wówczas niewiele ponad barierkę balkonu. Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z tragizmu sytuacji. Pozostałyśmy z mamą i starszą siostrą same. Miały się nami zająć służby wojskowe, które opiekowały się rodzinami wojskowymi. Zostałyśmy zawiadomione, że w określonym dniu i godzinie mamy się zgłosić na ul. Rakowiecką do koszar (to były takie czerwone budynki, które istnieją do dziś). Stąd wraz z innymi rodzinami wojskowymi miałyśmy być przewiezione samochodami ciężarowymi do Rumunii, bo tam miało być bezpiecznie.

Warszawa była już bombardowana. Pod osłoną nocy wyruszyliśmy w nieznane. Pamiętam jak przejeżdżaliśmy przez płonące Siedlce. Z okien domów buchały płomienie ognia, fruwały firanki wypychane podmuchem dymu. To był straszny widok!

Pod ciągłym ostrzałem samolotów udało nam się dotrzeć na Ukrainę. Dalej już nie mieliśmy możliwości się przedostać. Nie pamiętam nazwy wsi, w której się zatrzymaliśmy. Przygarnęła nas Ukrainka, która chyba uratowała nam życie, ponieważ mówiła wszystkim, że jesteśmy jej rodziną. Zajęła się nami może i z tego względu, że jak zatrzymaliśmy się u niej, ja miałam bardzo wysoką gorączkę, byłam nieprzytomna. Nie było lekarza, nie było lekarstw. Ukrainka przelewała nade mną jajka, kładła mi zioła i w końcu stwierdziła, że nic mi nie będzie, bo ja tylko przeleżałam się bomb – na co wskazywały kuleczki w przelewanych jajkach. Fakt, że do zdrowia wróciłam. Nie mogłam sobie tylko poradzić z łóżkiem, które wydawało mi się bardzo wysokie i nie potrafiłam z niego zejść.

Nami zaopiekowała się Ukrainka, ale wielu innych nie miało tyle szczęścia. Część oficerów i podoficerów wymordowano na miejscu. Niektórym ścinano głowy i nasadzano na sztachety parkanu, pozostałych wysłano w głąb Rosji. Garstka osób, którym tak jak nam udało się jakoś ukryć, postanowiła wracać do kraju. Nie wiem jak daleko byliśmy od Bugu, ale tej niewielkiej grupce ludzi udało się zorganizować łódkę i pod osłoną nocy prawie bezszelestnie przedostaliśmy się na drugi brzeg, gdzie już byli Niemcy.

Z okrutnego piekła, z którego uciekaliśmy, widok niemieckiego wartownika wydawał nam się wyba-wieniem. Nie robił nam żadnych trudności. Puścił nas wolno, a my skierowaliśmy swoje kroki w kie-runku Warszawy – na Okęcie do naszego mieszkania.

Nie pamiętam jak długo trwała nasza wędrówka, ale dotarliśmy całe i zdrowe. Mieszkanie czekało na nas, tyle że ograbione ze wszystkiego co cenniejsze. Cieszyliśmy się i z tego, bo miałyśmy z powrotem swój dach nad głową.

Niedługo dotarł do nas również nasz ojciec, któremu udało się uciec z transportu wiozącego jeńców wojennych do Katynia. Skład pociągu został ostrzelany przez samoloty i dzięki temu sporej grupie jeńców udało się uwolnić.

Tato wrócił! Byliśmy wszyscy razem – żywi! Żeby utrzymać rodzinę tata postanowił zająć się handlem. Jeździł rowerem po wsiach i przywoził mąkę, mięso itp. Ale do handlu nie miał szczęścia, bo nie dość, że nie zarobił, to ledwo uszedł z życiem. Odebrano mu rower i wszystko co wioził. Niemiec zmasakrował mu głowę kolbą karabinu, połamano żebra i gdyby mu się zamek nie zaciął, byłby ojca zastrzelił. Nie wiemy jak dotarł do domu, znaleźliśmy go półprzytomnego na schodach wiodących do piwnicy. Głowę miał popkładaną liśćmi kapusty, a pod nimi same rany.

Obok naszego domu mieszkał wojskowy lekarz dr Bober. Zajął się ojcem, ale już więcej tata na handel się nie wybrał. Został zatrudniony u swojego kuzyna inż. Cieślaka i wyjeżdżał z nim na roboty kolejowe do Dorohuska. Nie były to luksusy, ale na skromne życie starczało.

W 1941 roku moja siostra przystąpiła do I-szej Komunii Świętej. Bardzo jej zazdrościłam białej sukieneczki, bucików, wianuszka, ale przede wszystkim poczęstunku jaki przygotował ks. Tomaszewski po uroczystości komunijnej. Na zewnątrz kościoła (św. Franciszka z Asyżu) poustawiane były stoły przykryte na biało, a na nich w kubkach gorące kakao i bułka. Do dziś pamiętam zapach tamtego kakao i jakim łakomym wzrokiem patrzyłam na te frykasy.

Obydwie z siostrą chodziłyśmy do szkoły podstawowej nr 1 na Okęciu. Mieszkałyśmy w tym samym domu przy A. Krakowskiej. Naprzeciw naszych okien roztaczał się widok na dom i ogród pana Tomaszewskiego (istnieje do dziś). Dwa różne światy, które dzieliła wówczas wąska ulica wykładana kostką. Jeździł również tramwaj nr 7, tak jak i dziś, tyle tylko, że był jeden tor i kilka mijanek. Taka mijanka miała wysepkę i podwójne tory i tu właśnie mijaly się tramwaje. Jeden jechał do pętli w kierunku Warszawy do ul. Opaczewskiej, przy ul. Kołłątaja, a drugi w przeciwnym kierunku, do pętli „pod fabryką” (w pobliżu były dwa zakłady: G.J.L. i W.S.K). Na mijankach tramwaje zawsze musiały czekać na siebie.

Okęcie było wówczas taką małą osadą, gdzie większość ludzi się знаła – jak nie osobiście, to z widzenia. Wiadomo było, że ktoś mieszkał „pod fabryką”, ktoś inny w „gastronomii” czy „nad wodą”, a my byłyśmy dziewczynami z „mijanki”, bo nasz dóm był tuż przy mijance.

W niedziele i święta tramwaj nie jeździł i wówczas ci „spod fabryki” szli środkiem szosy do kościoła. To było przyjemne, czuło się taki świąteczny nastrój. Lubiłam niedziele. Nasz względny spokój zakłócili Niemcy, którzy postanowili zaanektować nasz budynek na potrzeby policji. Wszystkich wysiedlili, nie troszcząc się gdzie kto się podzieje. Nas przyjął kuzyn tatusia inż. Cieślak, który miał swoje biura w Warszawie na ul. Asfaltowej nr 7. Otrzymaliśmy malutkie mieszkanie, ale i z tego się cieszyliśmy. Tam też zastało nas powstanie. Tata tego dnia wyszedł i powiedział, że będzie wieczorem. Do nas z ul. Raszyńskiej przyszli kuzyni rodziców z córką. Powstanie zastało ich w tym w czym przyszli, nie mieli możliwości dotarcia do własnego domu. Dokąd było można siedzieliśmy wszyscy w piwnicy.

Pewnego dnia Niemcy zaczęli palić dom po domu na całej ulicy Asfaltowej. Chodzili z miotaczami i z ulicy puszczali w okna strumień ognia. Cała Asfaltowa była w płomieniach. Należało się ewakuować. Pod osłoną nocy przechodziliśmy z jednej ulicy na drugą, z jednej piwnicy do drugiej, kierując się w stronę obecnej ul. Wołoskiej. Gdzieś po drodze zatrzymaliśmy się w jakiejś willi. Tam dorośli podjęli decyzję o opuszczeniu Warszawy. Były to przeważnie kobiety i dzieci, kilku mężczyzn. Wśród tej grupy był ksiądz, który zaproponował wspólną modlitwę. Mielśmy wyjść następnego dnia rano. Świeciło słońce. Na tarasie willi zebraliśmy się wszyscy na zorganizowaną w prowizorycznych warunkach Mszę Świętą. Ponieważ ani czas ani ilość ludzi nie sprzyjały indywidualnej spowiedzi, ksiądz zarządził spowiedź powszechną. Wszyscy mieli otrzymać Komunię Świętą.

Byłam przygotowana do spowiedzi i komunii, ale warunki wojenne wciąż nie pozwalały mi na spełnienie tego Sakramentu. Moja mama zwróciła się do księdza, by pozwolił mi razem ze wszystkimi uczestniczyć w tej uroczystości i przyjąć Komunię Świętą. Ksiądz się zgodził! Moja radość była ogromna. Po wspólnej spowiedzi, żalu za grzechy, pojedynczo podchodziliśmy do księdza po okruszek hostii. Ze złożonymi rączkami w podartej sukience i koślawych butach po raz pierwszy przyjął Pana Boga do swego serduszka. Nie było mi żal, że nie mam białej sukienki, ładnych bucików i wianka. Ważne było to co działo się w moim sercu. Takiego przeżycia i takiej Komunii nie zapomina się do końca życia.

Nie zdawałam sobie wtedy sprawy z faktu, że byłam może jedyną dziewczynką, która swoją Pierwszą Komunię Świętą przyjęła w czasie Powstania Warszawskiego, w tak niezwykłych okolicznościach. Tak przygotowani, z Panem Bogiem w sercach i białą flagą w ręku, wyruszyliśmy poza Warszawę. Kierowaliśmy się w stronę końca ul. Rakowieckiej i polną drogą szliśmy do ulicy Żwirki i Wigury. Na drodze leżały zwłoki młodych powstańców. Jednemu z martwej, przykurczonej dłoni wysypywały

się kostki cukru. Trzymając białą flagę w górze doszliśmy do ul. Żwirki i Wigury. Tam zobaczyliśmy okopy i lufy armat wycelowane w kierunku palącego się miasta. Starsi uważali, że jedynym przejściem do Alei Krakowskiej była ul. Trojdena, czyli tzw. „czarna droga”. Przy tej ulicy stał wartownik. Był to niemiecki Ślązak, więc można było się z nim porozumieć. Ktoś zwrócił się do niego, że chcielibyśmy przejść tą ulicą. Wartownik jednak zaczął tłumaczyć, że przy „czarnej drodze” jest obóz przejściowy dla uchodźców z powstania i dzieją się tam straszne rzeczy, ponieważ tam są Ukraińcy. Radził nam iść w stronę Okęcia, ale wzdłuż tych okopów i armat. Posłuchaliśmy go i z duszą na ramieniu dotarliśmy do Okęcia. Teraz z perspektywy czasu myślę, że to Pan Bóg postawił na naszej drodze tego niemieckiego wartownika, dzięki któremu nie dostaliśmy się do obozu. Cała grupa była w stanie łaski uświęcającej, a jedna mała dziewczynka miała po raz pierwszy Pana Boga w swoim serduszkach, więc może jednak „Ktoś” czuwał nad nami?

Z ogromnym wzruszeniem nie tak dawno szykowałam swoją wnuczkę do Pierwszej Komunii Świętej – jakie to były dwie różne uroczystości. Tu pięknie poubierane dziewczynki, śliczne pieśni kościelne przy muzyce płynącej w organach i tamta Komunia w płonącej Warszawie, gdzie muzyką była kanonada pocisków i bomb.

Moje dalsze dzieciństwo było równie smutne. Na Okęciu nie było się gdzie zatrzymać – wszędzie pełno uchodźców z Warszawy. Powędrowaliśmy do Magdalenki, gdzie z gałęzi brzozy zostały zrobione szałas, w których przez pewien czas mieszkaliśmy. Jak się zrobiło całkiem zimno, przenieśliśmy się do piwnic budowanego właśnie domu. Nie było tam ani drzwi ani szyb w oknach. Mieszkaliśmy jakiś czas w takich warunkach. Na ścianach był szron i mimo stojącego piecyka tzw. kozy, który dawał trochę ciepła, szron się utrzymywał. W końcu ulitowała się nad nami starsza pani z Magdalenki i na krótko przyjechała nas do siebie.

Kiedy dowiedzieliśmy się, że policja niemiecka opuściła nasz dom na Okęciu, wróciliśmy tam. W naszym mieszkaniu były już cztery rodziny – uchodźcy z powstania. My zajęliśmy kuchnię (7 metrów kwadratowych), gdzie nareszcie było nam ciepło. Niedługo nasi współlokatorzy wyprowadzili się. Zostaliśmy sami w swoim mieszkaniu. 17-go stycznia 1945 roku rano (pamiętam, jedliśmy na śniadanie smażoną cebulę) ktoś krzyknął, że czołgi radzieckie i wojsko polskie jest już na Alei Krakowskiej. Wszyscy wybiegliśmy na ulicę. Nie wierzyliśmy, że nie ma już okupanta, że Warszawa jest wolna!

Jeszcze tego samego dnia z saneczkami poszliśmy do Warszawy na Asfaltową. Przechodziliśmy przez zasypane śniegiem i gruzem ulice. Niewiele osób tego dnia oglądało swoje miasto. Było cicho, pusto – strasznie. Dotarliśmy do Asfaltowej 7 – budynek w gruzach. Z piwnic, w których przebywaliśmy podczas powstania, wyciągaliśmy resztki naszego dobytku, nawet stare fotografie rodzinne. Na Asfaltowej nr 9 stał dom, którego Niemcy nie ruszyli, bo mieszkali w nim „folksdojcz”. Właściwie można było zająć mieszkanie z całym wyposażeniem, bo wiadomo było, że ich właściciele już tu nie wrócą. Ale my z własnych gruzów wyciągaliśmy potrzebne nam przedmioty, jakieś garnki, miski, widelce, to co potrzebne do życia. Z tego ponemieckiego mieszkania wzięliśmy tylko szafę. Taką pojedynczą z lustrem. Saneczkami tę szafę razem z innymi drobiazgami przytargaliśmy na Okęcie. To był nasz jedyny mebel. Z Mokotowa szliśmy przez Plac Narutowicza. Tu zatrzymaliśmy się, żeby chwilę odpocząć. Weszłam w bramę budynku na Grójeckiej, ponieważ mój pęcherz wymagał opróżnienia. Przykucnęłam i nagle moja noga poślizgnęła się na czymś okrągłym jak piłka, gdy cofnęłam nogę, zobaczyłam głowę i przysypane śniegiem włosy. Nie czułam strachu, odeszłam dalej i ulżyłam swemu pęcherzowi.

Dzisiaj nie mogę zrozumieć dlaczego w dziecku, jakim byłam, była taka obojętność na śmierć? Już później, kiedy na Opaczewskiej na pętli tramwajowej rozkopywano groby pomordowanych ludzi, chodziłam tam. Widziałam rozpacz osób, które odnajdywały jakieś oznaki tożsamości swych bliskich i takich, którzy odchodzili z nadzieją, że może ich bliscy gdzieś żyją!

Jakie różne było dzieciństwo i młodość tamtych lat i obecnego pokolenia! Patrząc na swoje wnuki (13 i 10 lat) i ciesząc się ich radościami, że mają spokojny sen nie zakłócony ciągłym strachem o życie.

Przez długie lata uważałam swoją Komunię za rzecz normalną. Z czasem zaczęło do mnie docierać, że jednak było to coś szczególnego, czym może warto z kimś się podzielić. Dlatego tak jak potrafiłam, opowiedziałam swoje wspomnienia, częściowo zapamiętane z przekazów moich nieżyjących już Rodziców.